

Za ładą, gdzieś w Polsce – 1

17 listopada 2018

Jak wygląda świat zza lady? Rzadko sobie zdajemy z tego sprawę. Zwykle nawet nie zauważamy anonimowej sprzedawczyni czy sprzedawcy. A tymczasem to świetny punkt prowadzenia obserwacji. Przede wszystkim – obserwowania nas samych. W nowym cyklu Piotra Jastrzębskiego możemy zatem przejrzeć się sami. Trochę jak bohaterowie „Rewizora” Nikołaja Gogoła.



Wpadłam tylko po cebulę, bo obiad prawie ugotowany i do surówki mi zabrakło – powiedziała kobieta wchodząc do sklepu. Zrobiła to na tyle głośno, by wszyscy poznali powód jej wizyty. Wybrała dwie niewielkie sztuki, które chwilę później położyłam na wadze. Wstukałam odpowiedni kod do kasy, wpisałam wagę i na monitorze wyświetliła się cena – dwadzieścia dwa grosze – odpowiedziałem uprzejmie. Wie pan, jak już tu jestem, to jeszcze może ćwiartkę wódki poproszę, tej wie pan, najtańszej – powiedziała już znacznie ciszej, doklejając do twarzy kompletnie niepasujący uśmiech podłotka, którym chciałaby przekonać, że to niby taki psikus, bo ona przecież wcale nie pije.

Niestety, nie mamy alkoholu – odpowiedziałem uprzejmie zdziwionej kobiecie, uśmiech podłotka dziwnie zastygł w

grymasie na pobladłej twarzy.

Niezależnie od płci, średnio i drobnomieszczański schemat jest taki sam. Mężczyźni szukają jakiegoś soczku, „bo wie pan, pić się chce” – donośnie i głośno pytają o te z górnej półki, by po chwili zastanowienia szybko sięgnąć po najmniejszą butelkę najtańszego napoju, gdzieś z rogu dolnego regału.

Z takim „pretekstem” maszerują do kasy po towar właściwy. Najczęściej pół litra, rzadziej dwie dwusetki. Z wysypanego na ladę bilonu wnioskuje, że pieniądze mają wyliczone na styk – „pozbędę się przy okazji tego żelastwa, tylko kieszenie obciąża, a panu się do wydawania reszty przyda” – dodają, konsekwentnie trzymając formę.

Niestety, nie mamy jeszcze koncesji – jak mantrę powtarzam zdziwionym klientom. A trzewia rozsadza mi niemy śmiech, widząc konsternację faceta, stojącego jak kretyn z soczkiem, którego nie potrzebuje i w innych okolicznościach nawet by na niego nie spojrzał, a co dopiero kupił.

Żeby podtrzymać pozory, nie mogą pozwolić sobie na rezygnację z niepotrzebnego towaru, nie mogą odłożyć na półkę, żeby z nienaruszoną kwotą odegrać tę samą scenę w innym sklepie. Przyznali by się tym samym do nałogu. A przecież oni nie, coś pan, w życiu.

Z ciężkim sercem ze stosu monet odliczają złoty czterdzieści dziewięć i zdeorientowani wychodzą. Z uszczuplonej sumy już na zestaw „soczek” i wódkę w innym sklepie zapewne nie wystarczy, ale zawsze można powiedzieć, że żona obiad gotuje i cebuli do surówki zabrakło. Jednej. Bo po co więcej w surówce?

Nie, nie z nałogu się śmieję, lecz z hipokryzji, która nakazuje im utrzymywać pozory i przekonać wszystkich, pewnie nawet samych siebie, że głównym celem wizyty w sklepie, był ten właśnie niepotrzebny „soczek”, albo cebula do nieistniejącego, i nigdy niewstawionego obiadu.

Nie wiem, czy z racji posiadanych nałogów, czy też może jest to tak oczywiste, że tego typu kupca rozpoznaję już w wejściu. Niezależnie od tego jak bardzo stara się utrzymać pozory. A im bardziej, tym jest śmieszniejszy. Bez tego taniego blichtru pozostałby jedynie niezauważonym, naprawdę anonimowym, czynnym alkoholikiem jakich dziesiątki obojętnie mijamy na ulicach, a jedynym uczuciem byłby może smutek u kogoś bardziej wrażliwego. Ale na pewno nie śmiech.

Klienci w całej Polsce przywykli, że akurat ta sieć sklepów działa niemalże jak stacja benzynowa. Czynne od świtu do późnej nocy, siedem dni w tygodniu, służy głównie jako pogotowie alkoholowe, a szeroki asortyment innych towarów stwarza jedynie pozory sklepu spożywczego i tak naprawdę jest tylko dodatkiem do głównego źródła przychodów, czyli wspomnianej wcześniej gorzały.

Ponieważ jednak sklep, w którym się zatrudniłem, działa w tym miejscu dopiero od kilkunastu dni, to zanim przewali się cała machina urzędniczej biurokracji związanej z pozwoleniami na handel towarami właściwym, minie zapewne kilka tygodni na udawaną sprzedaż samych „pozorów”. A ja będę miał ubaw z wkurzonych frajerskim zakupem klientów, którzy w idiotyczny sposób, wydali na styk uzbierane grosze.

Między innymi z tego powodu zamiast od świtu do późnej nocy, pracuję jedynie od ósmej do osiemnastej. Pracuję sam, sam otwieram i zamykam, sam wypłacam sobie dniówki wybierając z kasy sto trzydzieści złotych na zakończenie każdej zmiany, a właścicielkę widziałem jedynie trzy razy. I to już po zatrudnieniu. Dostałem pracę messengerem, koleżanka wszystko z nią obgadała, dostałem wiadomość z adresem i terminem gdzie mam się stawić. Gdy przyjechałem, okazało się, że sklep dopiero powstaje i będziemy go urządzać. Wtedy po raz pierwszy widziałem właścicielkę.

Kobieta ma tych placówek dwanaście, więc i sporą wprawę w szybkim starcie nowego biznesu. Uporaliśmy się w dwa dni, po

czym zostawiła mnie samego z jedynym istniejącym kompletem kluczy do wszelkich alarmów. Trzeci raz widziałem ją po tygodniu, wpadła zabrać utarg i nauczyć mnie robienia jakiś zestawień.

Drugą, znacznie mniejszą grupą klientów są robotnicy budowlani, wpadający na szybkiego hot doga, to chyba najtańszy ciepły posiłek jaki można zjeść na mieście. Są to głównie pracujący w okolicy Ukraińcy. Zwykle biorą po dwa, trzy hot dogi na głowę i – jeśli mają dłuższą przerwę – jedzą w sklepie. Był więc czas, by się trochę wzajemnie poznać. Ale oni są jedynie od poniedziałku do piątku. W weekendy niepodzielnie królują poszukiwacze soczków i brakującej do obiadu cebulki.

Okazało się, że obsługa kasy fiskalnej nie jest taka skomplikowana, jak na początku sądziłem. Wystarczyło kilka dni, by opanować trudną sztukę skanowania kodów, ręcznego wyszukiwania towarów, zmiany formy płatności z gotówki na kartę i co najważniejsze sumowania zakupów oraz ile reszty muszę wydać. Zanim zacząłem pracę, spędziłem jeden dzień w sklepie, gdzie pracuje moja koleżanka. Cierpliwie wytłumaczyła mi podstawowe zasady naciskania klawiszy i po takim przyśpieszonym kursie samodzielnie stanąłem za ladą. Bez asekuracji i jakiegoś podpowiadacza za plecami. Nie miałem plakietki „uczę się” i od razu musiałem sprostać ciekawym nowego skepu klientom

Zamieszkałem u kolegi. Czterdzieści minut jazdy pociągiem i jeszcze kilkanaście tramwajem. Odległość dosyć duża, ale połączenie jest o tyle dobre, że w pracy jestem w ciągu godziny od wyjścia z domu.

Sama praca wydawałoby się, że też nie jest specjalnie uciążliwa, gdyby nie to, że pod koniec zmiany ledwo stoję na nogach, a po powrocie od razu padam spać. Niekiedy zasypiam już w pociągu, dlatego ustawiam alarm w telefonie na pięć minut przed zaplanowanym dojazdem do stacji.

Wstaję kilka minut po piątej, pociąg odjeżdża o szóstej trzydzięci. Główną zaletą jest to, że pracuję sam. Nie mam na karku żadnego przełożonego. Wciąż jednak towarzyszy mi natrętny stres, że coś robię nie tak, że manko, superata, jakaś niezgodność – jestem bałaganiarzem i zazwyczaj nie przywiązuję wagi do drobiazgów – typu „Mogę być grosik winny?”, albo: Złotówkę przyniosę później, dobrze?”. Tym razem jednak muszę.

I o ile jestem spokojny o prawidłowe skanowanie i podliczanie klientów, to nie ufam w swoje postrzeganie pieniędzy. Na samym początku zdarzyło się, że wydawałem resztę i zamiast dziesięciozłotówek, powydawałem setki. Facet, zorientował się i w pierwszym odruchu uczciwości powiedział – panie, co pan robisz? Od tamtej pory pilnuję się jak cholera. Ale ceną jest to właśnie natręctwo, które towarzyszy mi przez całą dobę, siedem dni w tygodniu.

Autorstwo: Piotr Jastrzębski

Źródło: Trybuna.info